



Władysław Reymont  
(1867 — 1925)

## Ziemia obiecana (1897)

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgłębliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje — kominy, majaczyły w nocy, w mgłę i w deszczu — budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębam dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marmocowy deszcz pomieszany ze śniegiem padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego błota, na nagie drzewa przytulone do długich murów, drżące ze zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemysłowych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto i szumiał między gałęziami drzew i bił nimi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

[...]

[...] skręcił z Piotrkowskiej w małą, niebrukowaną uliczkę, biegnącą w pola i z jednej strony obstawioną długimi, posępными koszarami dla robotników.

Smutnie tam było i brzydko.

Wielkie, dwupiętrowe szopy kamienne bez najmniejszych ozdób, nagie, czerwieniące się boleśnie nędzną cegłą ścian wykuszanych przez wiatry, przegłądały się w ulicy, pełnej cuchnącego błota; setki małych poprzepłatanych okienek z rzadka bielejących się firankami lub ozdobionych doniczkami kwiatów, patrzyło w potężne korpusy fabryki, rozkładającej się po drugiej stronie drogi, za wysokim parkanem i szeregiem olbrzymich topoli z uschniętymi czubkami, co stały

niby szkielety groźne, rozgraniczając te smutne katakumby ludzkie, do jakich miały podobieństwo domy robotnicze, od fabryk, które w ciszy niedzielnego odpoczynku, oniemiały, milczące, a potężne ogromem, wygrzewały w wiosennym słońcu swoje potworne cielska i błyskały ponuro tysiadcami okien.

Borowiecki przesuwiał się pod domami, po wąskich kładkach i kamieniach, miejscami zupełnie zalany przez błoto, które niby wodą falowało i rozpryskiwało się aż na parterowe okna i na drzwi, prowadzące do sień i kurytarzów, w których huczały krzyki dzieci.

Za domami wszedł do długiego ogródka, graniczącego przez drogę z polami rozległymi, na których w oddaleniu czerwieniły się mury fabryk i porozrzucane samotnie domy. Wiatr stamtąd zawiewał zimny i wilgotny i szeleścił liśćmi żywopłotów grabowych, co uschnięte, żółte, trzęsły się za każdym powiewem i opadały na czarne, rozmiękłe uliczki ogródka.

W ogrodzie stał wysoki, jednopiętrowy dom, w którym mieszkał jego pomocnik Murray, było w tym domu i jego mieszkanie, jakie mu fabryka wyznaczyła, całe piętro lub parter do wyboru, ale Borowiecki miał nieprzezwyciężony wstręt do tego mieszkania smutnego.

Z jednej strony okien widać było podwórza domów robotniczych; od frontu szedł ogródek i widok na fabrykę, a z lewej szła tak samo, jak od frontu, ostatnia zamiejska ulica, niebrukowana, otoczona rowami o kilkułokciowej głębokości, nad którymi rosły stare, umierające drzewa, chylące się coraz bardziej, podmywane ściekami, spływającymi z sąsiednich fabryk, a za nimi oczy leciały po wielkim kawale ziemi, pełnej dołów, kałuż, gnijącej wody, zafarbowanej odpływami z blichów i apretur, stosów rumowisk i śmieci, jakie tutaj wywożono z miasta, rozwalonych pieców cegielnianych, grup drzew poschniętych, śladów zagonów, kup gliny pozostawionej od jesieni, domków skleconych z desek i małych fabryczek pod samym lasem szajblerowskim, co swoją zdrową czerwonością i martwymi, twardymi konturami, raziły wprost oczy.

Nie cierpiał tego łódzkiego krajobrazu, wolał mieszkać w wynajętym mieszkaniu i niezbyt wygodnym, ale mieszkał w mieście [...].

[...]

Z dachów, z popsutych rynien, z balkonów lała się woda strumieniami na głowy przechodzących i na zablocone trotuary; wczorajszy śnieg topniał i ściekał po frontach pałaców i domów, żłobiąc długie, czarne smugi po ścianach pokrytych pyłem węglowym i sadzami.

Bruk uliczny, pełen dziur i wybojów, był pokryty masą lepkiego błota, które rozbijane przejeżdżającymi dorożkami i powozami, opryskiwało trotuary i spacerujących.

A nad tym, po obu stronach ulicy, ciągnącej się olbrzymią linią aż do Bałut, stały zbitą masą domy, pałace podobne do zamków włoskich, w których były składy bawełny; zwykle pudła murowane o trzech piętrach, poobdzierane z tynków; domy zupełnie stylowe o złożonych balkonach żelaznych *barocco*, powyginane, wdzięczące się, pełne amorków we fryzach i nad oknami, przez które widać było szeregi warsztatów tkackich; malutkie, drewniane, pogięte domki o zielonych omszonych dachach, za którymi wznosiły się w dziedzińcach potężne kominy i korpusy fabryk, tuliły się do boku pałacu, o ciężkim renesansowo-berlińskim stylu, z czerwonej modelowej cegły i wszystkich odrzwiach i futrynach z kamienia, z wielką płaskorzeźbą na frontonie, przedstawiającą przemysł, o dwóch bocznych pawilonach zakończonych wieżami, a rozdzielonych od głównego korpusu przeszliczną żelazną kratą, za którą w głębi wznosiły się kolosalne mury fabryki; domy ogromem i wspaniałością podobne do muzeów, a które były składami gotowego towaru; domy przeładowane ozdobami w różnych stylach, bo na parterze renesansowe kariatydy podtrzymywały murowany ganek w staroniemieckim stylu, nad którym drugie piętro *à la Louis XV* wdzięczyło się falistymi liniami w obramowaniu okien, a zakończyły facjatki pękate, podobne do pełnych szpulek; domy, które z powagą świątyni wznosiły mury ogromne, ozdobione surowo, pełne majestatu, na których złociły się litery ryte w tablicach marmurowych: Szaja Mendelsohn, Herman Bucholc itd.

Była to zbieranina, śmietnik wszystkich stylów, stosowanych przez murarzy, najezona wieżyczkami, oblepiona sztukateriami, które wciąż oblatywały, pocięta tysiącami okien, pełna kamiennych balkonów, kariatyd, facjatek niby ozdobnych, balustrad na dachach, wspaniałych bram, gdzie szwajcarowie w liberii drzemali w aksamitnych fotelach i zwykłych otworów, którymi błoto uliczne wlewało się na straszne, podobne do gnojowisk podwórza; sklepów, kantorów, składów, sklepików nędznych, przepelnionych brudem i tandetą, pierwszorzędnych hoteli i restauracji, najohydniejszych szynków, przed którymi wygrzewali się na słońcu nędzarze, milionów, które przelatywały ulicą w przepięknych powozach, zaprzężonych w amerykańskie rysaki po dziesięć tysięcy rubli sztuka, — nędzy, która się przewalała ulicami, z sinymi ustami rozpacz i ostrym wzrokiem wiecznego głodu.

[...]

Niżej, za Nowym Rynkiem, pełno było Żydów i robotników, dążących na Stare Miasto. Piotrkowska ulica w tym miejscu zmieniała po raz trzeci swój wygląd i charakter, bo od Gajeroskiego Rynku aż do Nawrot jest fabryczną; od Nawrot do Nowego Rynku handlową, a od Nowego, w dół, do Starego Miasta tandeciarско-żydowską.

Błoto było czarniejsze i płynniejsze, trotuary zmieniały się przed każdym prawie domem, raz były szerokie z kamienia, to biegły wązkim wydeptanym paskiem

betonu, albo szło się wprost po drobniutkim, zabłoconym bruku, który kłuł przez podeszwy.

Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się niby wstęgi brudnożółte, czerwone i niebieskie; z niektórych domów i fabryk, położonych za nimi, przyptyw był tak obfity, że, nie mogąc się pomieścić w płytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki kolorowymi falami, aż pod wydeptane progi niezliczonych sklepików, ziejących z czarnych, zabłoconych wewnątrz brudem i zgnilizną, zapachem śledzi, jarzyn gnijących lub alkoholu.

Domy stare, odarte, brudne, poobtlukane z tynków, świecące niby ranami nagą cegłą, miejscami drewniane, albo ze zwykłego pruskiego muru, który pękał i rozsypywał się przy drzwiach i oknach, o krzywych obsadach futryn, pokrzywione, wysane, zabłocone, stały ohydny rzędem domów-trupów, pomiędzy którymi wciśnięte były nowe, trzypiętrowe kolosy o niezliczonych oknach, jeszcze nie tynkowane, bez balkonów, z tymczasowymi oknami, a pełne już ludzkiego mrowia i stuku tkackich warsztatów, jakie pracowały bez względu na niedzielę, turkotu huczącego maszyn, szyjących tandetę na wywóz i przenikliwego zgrzytu kołowrotek, na których zwijano przędzę na szpulki do użytku ręcznych warsztatów.

Przed owymi nieskończonymi domami, które wznosiły się czerwonymi, posępnymi murami, nad tym morzem umierających ruder i kramarskiego życia, leżały całe sterty cegieł i drzewa, ścieśniając i tak wąską uliczkę, zapchaną wozami, końmi, przewożonym towarem, zgiełkiem, nawoływaniem handlarzy i tysiącnymi głosami robotników, płynących w gromadach na Stare Miasto; szli środkiem ulicy lub obok trotuarów; ich różnokolorowe szaliki, jakimi mieli poobwiązywane szyje, rozjaśniały nieco ten ogólny, szarobłotnisty ton ulicy.

Stare Miasto i wszystkie przylegające uliczki trzęsły się zwykłym niedzielnym ruchem.

Na kwadratowym placu, obstawionym starymi, piętrowymi domami, nigdy nie odnawianymi, pełnym sklepów, szynków i tak zwanych Bier-Hall, zastawionym setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wozów i koni, wszystko to krzyczało, mówiło, klęło, biło się czasami.

Wrzaskliwy chaos przewalał się jak falą z jednej strony rynku na drugi. Nad tym rojowiskiem głów, włosów rozwianych, rąk wzniesionych, łbów końskich, toporów rzeźnickich, połyskujących nagle w słońcu, podnoszonych nad rozrąbywanym mięsem, olbrzymich bochenków chleba, niesionych, z powodu tłoku, nad głowami, żółtych, zielonych, czerwonych, fioletowych chustek, powiewających niby sztandary na kramach garderoby; czapek i kapeluszy, wiszących na kołkach, butów, szalików bawełnianych, co jak węże kolorowe trzepotały się na wietrze i uderzały w twarze przeciskających się; blaszanych naczyń, błyskających w słońcu; — stosów słoniny, kup pomarańcz, poukładanych na straganach w przyzmy, kul, świecących jaskrawo na tle czerni ludzkiej i błota, które, gniecione, rozrabiane, tratowane, mieszane, rzygało strumieniami spod nóg na stragany i na twarze, i wylewało się

z Rynku do rynsztoków i na ulice, z czterech stron okalające targ, którymi toczyły się wolno olbrzymie wozy piwowarskie, pełne antałków. Wozy z mięsem, pokrywane brudnymi szmatami, albo z dala świecące czerwono-żółtymi żebrami wołów obdartych ze skóry, wozy naładowane worami mąki, wozy pełne drobiu, krzyżącego wrzaskliwymi głosami, pełne kwakania kaczek i gęgotu gęsi, które przez szczeble drabin wysuwały białe głowy i syczały na przechodniów.

Czasem, bokiem tych nierozwartych sznurów wozów, idących jeden za drugim, przebiegał z pośpiechem jaki elegancki powozik, ochlapując błotem ludzi, wozy, trotuary, na których w kuczki siedziały stare, wynędzniałe Żydówki z koszykami pełnymi gotowanego grochu, cukierków, zmarzniętych jabłek, zabawek dziecięcych.

Przed sklepami, które były pootwierane i pełne ludzi, powystawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżały góry galanterii, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkalików sztywnych jak blachy, kołder o jaskrawych poszyciach, koronek bawełnianych. W jednym końcu Rynku stały żółte, malowane łóżka, komody, które się nie domykały i brązowym bejcem udawały mahoń; lustra, w których by się nikt nie zobaczył, połyskiwały w słońcu; kołyski, stopy sprzętów kuchennych, za którymi na ziemi, na garstkach słomy siedziały kobiety wiejskie z masłem i mlekiem, ubrane w czerwone wełniaki i zapaski. A pomiędzy wozami i straganami, przepychały się przez tłumy kobiety z koszami czepków białych, wykrochmalonych, które przymierzano wprost na ulicy.

Na Poprzecznej, zaraz przy Rynku, stały stoły z kapeluszeniami, których nędzne kwiaty, zardzewiałe spięcia, kolorowe farbowane pióra, chwiały się smutnie na tle ścian domów. [...]

Wysoko świeciło słońce i zalewało potokami wiosennego ciepła rynek cały. Podnosiło barwy, złociło nędzne, wycieńczone twarze, obnażało rudery, zapalało złote ogniska w szybach okien i w błocie przepojonym wodą, w oczach ludzi, którzy stali pod domami i grzali się i pokrywało, jakby złotawą glazurą brzydotę, jaka tutaj królowała, wszystkie te rzeczy i ludzi i wszystkie te głosy, co się zrywały spośród bud, wozów, straganów, błota i olbrzymim wirem krążyły nad Rynkiem, odbijały się o czworokąt domów i płynęły w boczne ulice, w świat, w pola, ku fabrykom, które niedaleko stały, panując kominami i jakąś cichą, milczącą grozą, w jakiej były zatopione i patrząc błyszczącymi w słońcu, wytrzeszczonymi oczami okien na te roje robocze.